

Jan Maciejewski: Nawiedzona przy Końcu Świata

Siedząca przy piecu zaczęła nucić jakąś melodię. Nie otwierała ust, cała brzmiała tym niskim, głębokim jak pierwszy, daleki jeszcze pomruk burzy dźwiękiem. Ogień tańczył na jej twarzy i ta melodia też była z ognia. Podobnie jak on tańczyła, a w tym tańcu była jednocześnie groza i beztroska. Ciepło i pożoga.

Na motywach obrazu „Nawiedzenie” Krzysztofa Klimka

– Idę na Koniec Świata. Nie czekaj na mnie z kolacją.

Odpowiedziało jej ciche stuknięcie kubka o blat stołu. Jeszcze kilka miesięcy temu zaczęłyby w niej kiełkować w tej chwili złość, rozwijałyby się potem powoli, aż wreszcie po paru dniach rozkwitłyby w jakimś wybuchu poirytowania, pozornie spowodowanego czymś zupełnie innym, mało ważnym. Właściwie zupełnie się nie liczącym; nie w obliczu takiej obojętności.

Bo jeszcze kilka tygodni temu jej mąż powinien (i najpewniej to właśnie by zrobił) podejść do niej, zajrzeć głęboko w oczy i zapytać czy coś się stało. Czy chciałaby, żeby poszedł tam razem z nią czy może właśnie woli być tam sama. To nie było obojętne miejsce, nie dla nich

dwojga. Ich sąsiedzi przechodzili tamtędy nie wiedząc z czym się wiąże ani co oznacza. Przystawali tam tylko wtedy, kiedy akurat kogoś spotkali, rozwiązał im się but albo – to najczęściej – dostali zadyszki.

Na Koniec Świata prowadziła stroma, kamienista ścieżka. Może nie tak znowu bardzo stroma, ale dość długa, by stracić z jej powodu równy oddech. Po jednej jej stronie znajdował się las, po drugiej – łąki. Kiedy odkryli to miejsce, ciągnęły się nieprzerwanie jak daleko sięgał wzrok. Od tamtej pory wyrosło już na nich kilka domów. Ale to ten przez nich zbudowany był pierwszy; jak flaga wbita w dopiero co odkryty ląd. W ten sposób, nigdy przez nich niewypowiedziany wprost, bo zbyt dla obojga oczywisty, weszli w posiadanie tego miejsca. Nie tylko małego, otoczonego płotem skrawka ziemi, tej na której stanął ich dom i chwilę potem wyrósł zasadzony przez nich, owocowy sad. To miejsce, nie ziemia, było ich własnością. Zapach rosnącego tuż obok lasu i dobiegające z jego strony nocą głosy. Wilgoć łąk i prawo do przecięcia ich wytyczonymi własnymi krokami ścieżek. Ale nade wszystko – bo od tego też wszystko się zaczęło – Koniec Świata.

Jan Maciejewski „Kompleta: Mąż i żona” – przeczytaj fragment książki „Już pora”

Od drzwi domu dzieliło go najwyżej sto metrów. Chcieli by był blisko, na tyle żeby móc rzucać mu przelotne spojrzenia z okna kuchni. Czuć jego obecność, jakby było milczącym strażnikiem, posterunkiem czuwającym nad nimi dzień i noc. To tutaj zdecydował się ich los. Mieli siedemnaście lat, gdy je odkryli. Trafili tam przypadkiem – po prostu zabłądzili w lesie. Po jednej jego stronie była szkoła, do której oboje chodzili, po drugiej mieszkała ona. Chłopak pobłogosławił w myślach las, kiedy tylko dowiedział się o jego istnieniu.

Bardzo szybko zauważył, że dziewczyna, w której zakochał się od pierwszego, beztróskiego uśmiechu, jaki mu posłała, przyjeżdża do szkoły autobusem, a do domu wraca piechotą. Gdy pierwszy raz zapytał, czy może ją odprowadzić ze strachu wbijał wzrok w czubki swoich butów. „Właściwie, czemu nie. W lesie wcześniej się ściemnia”. Od tego dnia aż do matury pokonywał codziennie po szkole kilkanaście kilometrów, do domu dziewczyny i z powrotem. Sam mieszkał tuż obok budynku liceum.

Z każdym miesiącem droga zabierała im więcej czasu. Wolniejszy krok, wybieranie bocznych, prowadzących naokoło ścieżek było jak pierwsze wyznanie miłości. Chodząc nie musieli mówić. Zauważyli, że dobrze im się ze sobą milczy. Cisza między nimi nabrzmiewała na tyle, że nie trzeba było w żaden sposób nazywać tego, co się właśnie dla nich zaczynało. I wtedy dotarli na Koniec Świata.

Była wczesna wiosna, dopiero kończył się marzec. Kilka leśnych ścieżek okazało się przywidzeniem; ale gdy tylko kończyło się jedno, zaczynało następne. Zdawało im się, że to las ich prowadzi. Uchyła przed nimi gałęzie, ubija ziemię pod stopami, sugerując, że tędy właśnie, o tu, gdzie teraz idziecie, chodzą codziennie inni ludzie. Ukrywa przed nimi fakt, że są pierwszymi od setek lat, którzy stawiają w tym miejscu kroki. Dziewczyna zaczęła się denerwować, we włosy zaplątała jej się pajęczyna, gałązka buku skaleczyła ją w policzek, z daleka – ale wewnątrz lasu obowiązują przecież inne miary odległości, zwłaszcza gdy zgubi się drogę – doszło ich uszu zawrodo jakiegoś zwierzęcia. Ale to tylko puszcza zabraniała im spoglądać za siebie, poganiała by szybciej dotarli w miejsce, które chciała im pokazać. Wybijiała tym dwojgu z głowy pomysł, który od kilku minut, coraz wyżej

podniesionym głosem zaczęła forsować dziewczyna. „Nawet o tym nie myśl, nie pozwolę wam zawrócić. Nie oglądajcie się za siebie” – powiedział do nich las głosem jednego ze swych mieszkańców.

Wreszcie gałęzie zaczęły się przeredzać, przepuszczając między sobą, wysyłając w ich stronę promienie słońca. Weszli na kamienną, prowadzącą pod górę ścieżkę. Błądzili dłużej niż im się wydawało, słońce zaczynało już zachodzić. Popatrzyli w górę ścieżki i zobaczyli coś, od czego obojgu ścisnęły się serca. Kilkadziesiąt metrów dalej ścieżka urywała się. Ale nie tylko ona. Tam kończyło się wszystko. Horyzont ucinał się nagle, jak od cięcia gilotyny. A tuż za nim płonęło, jak wewnątrz rozgrzanego pieca, niebo. Krwistoczerwone – takie potrafi być ono tylko wczesną wiosną, kiedy krew zaczyna buzować w żyłach a soki w łodygach roślin. I niebo buzowało taką właśnie, ognisto – krwistą czerwienią. Miała odcień pierwszej miłości, kiedy nic nie jest jeszcze oswojone, wszystko budzi ten sam zachwyt i przerażenie. Ale najpiękniejsze (i najstraszniejsze równocześnie) było to, że niebo nie było nad, ale przed nimi. Wydawało się, że wystarczy zrobić kilka kroków by się do niego dostać. Bo za ucinającym się horyzontem, kończącym w tamtym miejscu światem, nie było przepaści, ziejącej ciemnością pustki, ale szalejące w groźnym, wiosennym tańcu niebo.

W tej chwili chłopak zobaczył stojącą tuż przed nimi ławkę. Wydawało się, że wyrosła spod ziemi. Byli zaskoczeni jej widokiem niemniej niż pierwotny człowiek natykając się u wyjścia ze swej jaskini na uliczną latarnię. Dopiero ona zaczęła im przypominać o reszcie świata, tej leżącej przed jego Końcem. Siedząc na niej docierała do nich powoli świadomość, że to tylko zadzierający się pod koniec ścieżki ostro w górę horyzont stworzył złudzenie znajdującej się za nim przepaści. Że dalej, za nim toczy się życie; jest jakaś droga, wokół niej rosną domy a

w tych domach żyją normalnym życiem ludzie. Ale przyjmowali tę wiedzę na prawach snu. Jakby to ona, rzeczywistość, była złudzeniem, majakiem nawiedzającym świadomość, zaburzającym zdrowe i normalne postrzeganie świata. Te kilka chwil, w trakcie których byli absolutnie pewni, że dotarli na prawdziwy Koniec Świata, były bardziej namacalne, pewniejsze niż cokolwiek z tego, co dotąd przeżyli. I czego jeszcze mieli doświadczyć. Siedzieli i wpatrywali się powoli w dogasające przed ich oczami niebo.

– Jakbyśmy byli w teatrze – wyszeptała dziewczyna. Z pełną świadomością dwuznaczności tych słów. Tego, że przedstawieniem mógł być równie dobrze ognisty spektakl, jak i całe ich dotychczasowe życia. Szkoła, z której wracali, dom, do którego odprowadzał ją chłopak, te kilka zupełnie nieistotnych spraw o których rozmawiali po drodze. Każda z tych rzeczy, jakie nabrały właśnie cudownej lekkości, pokryły się mgłą i rozmazały, jakby patrzyli na nie przez rozregulowaną lornetkę. Naprawdę i bezwzględnie istniał tylko Koniec Świata. Chłopak wziął głęboki wdech jak przed skokiem do wody i po raz pierwszy ją pocałował.

Przedstawienie trwało dalej. Zdali maturę, ślub wzięli jeszcze na studiach. Wcześniej niż to było rozsądne i niż życzyli sobie tego ich rodzice. Ale oni wiedzieli, że nie mają czasu do stracenia, żyli w blasku kończącego się świata. Tuż obok miejsca, gdzie wszystko było cudownie proste i intensywne. I wtedy zaczęły pojawiać się pierwsze cienie.

Jan Maciejewski „Milczenie katedry” dostępne w księgarni Teologii Politycznej

Jeden wielki i kolejne, jego odnogi i warianty. Dziewczyna, teraz już kobieta, nie mogła zajść w ciążę. Lekarze rozkładali bezradnie ręce, mężczyzna osuwał się w poczucie winy i strach przed smutkiem jego żony. To nienarodzone dziecko stanęło między nimi jak wysoki mur. Oboje starali się wybijać w nim okna i przejścia, ale każde z nich znowu zarastało nowymi niedomówieniami. Każdym wieczorem, którym leżeli obok siebie trzymając się za ręce, głęboko oddychając i milcząc na ten sam temat. Ich zbliżenia wydawały się ogniem, któremu ciało kobiety nie pozwalało się z jakiegoś powodu zająć. Chociaż wszystko w niej, od palców stóp aż po końce włosów wypełnione było pragnieniem tego ciepła, to jednak to nowe, drugie życie, nie chciało w niej zapłonąć.

Tęskniła do tego dziecka, jak do kogoś, kto zaginął. W innym, poprzednim życiu biegało między nimi i budziło ją w nocy swoim płaczem. Widziała je, znała jego rysy. Czasami, gdy budziła się w nocy, wydawało jej się, że tuż obok niej leży mała rączka. Ale gdy próbowała ją pogłaskać okazywało się, że to tylko zgrubienie pościeli. W rodzinie i wśród znajomych zaczęła uchodzić za nieplodną. To się stało jej nowym imieniem, wyznacznikiem statusu. Wypisanym na jej czole znamieniem. Widziała, jak odbija się w pełnym troski spojrzeniu jej matki czy zakłopotaniu sąsiadek, kiedy wychodząc na schody swych domów by zwołać wszystkie dzieci na kolację dostrzegały ją z daleka, idącą drogą w kierunku lasu.

„Uchodzenie za nieplodną” było czymś w rodzaju okrutnej parodii talentu, przypisaną jej przez społeczność rolę. „O to ta, która wspaniale szyje. A tamta piecze torty na wesela i urodziny. A ta? A, ona podobno jest bezplodna”.

Ale te wszystkie zdania docierały do niej zza szklanej ściany. Nie słyszała ich zbyt wyraźnie, nie zostawały w niej na dłużej. W przeciwieństwie do płaczu jej dziecka, w jaki układał się w jej uszach szum lasu. Czy jego śmiechu, który notorycznie myliła z trzaskaniem pękających w ogniu gałęzi. One były realne, rzeczywiste w sposób, który porównać można tylko z tamtym marcowym wieczorem, w który ujrzeni Koniec Świata. Czuła, że jej syn (skoro widziała jego twarz i słyszała głos, to naturalne też, że znała płac Dziecka, Którego Nie Było) przyjdzie właśnie stamtąd. Wyłoni się z tamtych płomieni, w jego żyłach będzie płynąć ogień.

Tylko wtedy dotykała w ten sposób dłoni swojego męża. Nie musiała niczego mówić, wystarczał gest, spojrzenie. I pora. Odkładał wtedy czymkolwiek się właśnie zajmował i ruszał razem z nią na ich ławkę. W ich miejsce. Patrzyli na zachód słońca, z takim natężeniem, tak wysiloną uwagą, jakby naprawdę zaraz miał się wyłonić zza horyzontu Ten Chłopiec. Jakby miał być owocem ich wspólnego wpatrywania się w Koniec Świata – ich spojrzenia splatały się ze sobą, wybiegając za horyzont, z tą samą czułością i determinacją, na jakie zdobywały się potem, w dalszym ciągu każdego z tych wieczorów, ich ciała.

Mijały lata, a wraz z nimi nadzieja. Niepłodność wrosła w kobietę jak gałęzie drzew w ruiny opuszczonego domu. Nie była już intruzem jak dwadzieścia czy trzydzieści lat wcześniej. Na jakiś sposób, pogodzony ze swoim losem, właściwy starzejącym się ludziom, zaczęła ją nawet pielęgnować. Bo walczyć nie było już po co.

Minęła niemal równo dekada, od kiedy ostatni raz siedzieli wspólnie na Końcu Świata – dziesięć lat od ostatniej, rozpaczliwej jak krzyk zagubionego w lesie dziecka próby rozpalenia w niej nowego życia. I wtedy to się stało. Tego wieczora siedziała na ławce sama. Od kiedy przestali ze sobą sypiać przychodzili tu coraz rzadziej. I zawsze osobno. Nie patrzyła w niebo, ale przed siebie, na łąkę. Czuła za plecami chłód lasu a na twarzy ciepło zachodzącego słońca. Mężczyzna wszedł do kuchni zaparzyć sobie kawę, zobaczył ją przez okno. Zobaczył i zapragnął. Jakby nagle zapomniał o całej niestosowności tego uczucia w jego starzejącym się ciele. „Ten ostatni raz” – pomyślał i zdjął czajnik z pieca. Podszedł do niej i podał jej rękę, usiłując zrobić to w ten sam sposób, na jaki ona dotykała jego za każdym razem, gdy chciała go tu przyprowadzić. Na początku się przestraszyła. Jakby to nie miała być ostatnia, ale pierwsza wspólna noc. A potem zobaczyła w jego twarzy zachwyty, który zdążyła już pożegnać, opłakać i zapomnieć. Może to miało być tylko wspomnienie, może pożegnanie – ale tego właściwego nigdy nie było. Zwyczajnie, oddalali się stopniowo od siebie, dogasali, każde z osobna. Zaczęła zapominać o świecie, w którym uchodziła za nieplodną, z powrotem mieli siedemnaście lat i byli tu pierwszy raz. Tylko teraz nie spojrzeli już za horyzont, na płonące niebo, które zostawiali za sobą. Ale ono patrzyło na nich.

Kiedy dwa miesiące później zorientowała się, że jest w ciąży, mężczyzna zamilkł. Tym samym, skrępowanym od nadmiaru namiętności milczeniem, które towarzyszyło im podczas powrotów ze szkoły do domu. Znowu, jak wtedy nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Jakby zesłano go do obcego, dalekiego kraju, w którym porozumiewać może się tylko na migi. Zwalniając kroku albo

skinieniem głowy proponując skręcenie w niezbadaną wcześniej przez nich ścieżkę. Nie znał języka, jakim trzeba by przemówić w tej chwili. Po tym, co się stało.

Przestał mówić i zaczął, po wielu latach przerwy, palić fajkę. Siadał wieczorami na schodach domu, twarzą zwrócony do lasu i zasnuwał się kłębamii ciężkiego dymu. Pewnie w innej sytuacji jego żona robiłaby mu z tego powodu wyrzuty, ale teraz i ona zamilkła wobec tej jego słabości, jak on w obliczu niespodziewanego, krępującego szczęścia, które ich spotkało. Po cichu, żeby go nie spłoszyć, stawała za plecami męża i śledziła ten jego codzienny, wieczorny rytuał. W jego paleniu była powaga i nabożność, jak gdyby to nie fajkę trzymał w ręce, tylko kadzidło. I jeszcze raz błogosławił, okadzał chmurami tytoniowego dymu niknący w mroku las. Wtedy, nocą, podobnie jak wówczas, gdy w nim zabłądzili, bardziej przypominający ciemną puszcę, dom tysiąca i jednej tajemnicy. Nie chciał odpowiedzi na tę z nich, która zdarzyła się w ich życiu. Próbował tylko na swój sposób, wydmuchiwanymi z siebie kłębamii dymu i milczeniem, złożyć jej cześć. Nie. Kobieta nie zrobiła mu ani jednej zgryźliwej uwagi z powodu tej fajki.

Tak jak i ze względu na milczenie, którym odpowiedział na prośbę by nie czekać na nią z kolacją. Nie wiedział, nie powiedziała mu, że odwiedzi ich jej kuzynka. To miała być niespodzianka. Tak jak dla niej, oczekiwana z niecierpliwością na rozwiązanie zagadką, był dzień, w którym do ich domu przybędzie dziewczyna. Wiedziała tylko, bo o tym napisała jej w liście, że również spodziewa się dziecka. Będzie ich więc przez jakiś czas w domu pięcioro.

Słońce już zaszło, ale jakoś dobrze było jej tu samej ze sobą. Nie bała się lasu za jej plecami, chłód wczesnej nocy orzeźwiał zamiast przenikać. Wtedy, kątem oka, zobaczyła sylwetkę wychylającą się powoli zza krańca świata. Odwróciła się w jej kierunku. Była smukła, wręcz nieludzko zwiewna, a jednocześnie pewnie i twardo stawiała kroki. Nad jej głową unosił się księżyc i świeciły gwiazdy. Doczekała się.

Wstała z ławki i ruszyła ku nadchodzącej dziewczynie. Ale po paru krokach zatrzymała się od szarpnięcia nagłego, ostrego bólu. Zakołysała się i upadła na kolana, jak od potężnego ciosu. Zaczęła płakać. Dziecko, które w sobie nosiła zaczęło wymachiwać wszystkimi kończynami. Bolało tak, że nie mogła z tego bólu złapać oddechu. Ale to nie dlatego płakała, tylko z radości. Dopiero teraz naprawdę je w sobie poczuła. Całą sobą zachęcała dziecko do kolejnych kopnięć i podskoków. Była jak kaleki od urodzenia, który pierwszy raz poczuł ukłucie bólu w nogach – dowód życia, dowód cudu. Dziewczyna podbiegła i uklękła obok niej. Teraz płakały już razem.

Kobieta miała w zwyczaju zasypiać na kuchennej rogówce. Podwijiała nogi pod siebie, przykrywała się kocem, opierała głowę o ścianę i tak spędzała pierwszą część nocy. Bywało, że kładła się do łóżka dopiero nad ranem. I teraz też musiało już chyba świtać, poznała to po ciągnącym od szpar w oknach porannym chłodzie, tym heroldzie nadchodzącego dnia. Nie otwarła oczu. Zdecydowała, że zostanie tu do rana.

Drewniana podłoga zaskrzypiała. To dziewczyna skradała się na palcach w kierunku pieca. Otworzyła jego drzwiczki, zaczęła układać w środku stos do podpalenia. Kobieta pomyślała, że i ona powinna się podnieść ze swojego miejsca, dołączyć do tych porannych obrzędów. Ale było jej tak dobrze, tak ciepło od poruszającego się już spokojniej, ale wyraźnie i rytmicznie w jej wnętrzu życia. Usłyszała cichutki trzask zapalającej się zapałki i po sekundzie odgłos otulającego najpierw papier, a potem drobne patyki ognia. Powoli, nie chcąc spłoszyć tej chwili, rozchyliła powieki.

Dziewczyna nie zamknęła drzwiczek od pieca. Siedziała na niskim, drewnianym stołeczku i wpatrywała w rozbuchujący się coraz mocniej płomień. Ogień oświetlał jej twarz, wyciągał ją z porannego mroku jak promień reflektora skierowany na postać aktora stojącego na scenie. Ale tamten jest zimny, sztuczny i nieruchomy. To światło było inne, radośnie tańczyło na twarzy dziewczyny. Zawsze wiedziała, że jej kuzynka jest bardzo piękna, ale teraz było już w tym pięknie coś wręcz groźnego. Kobieta znajdowała się w połowie drogi między snem i jawą, w tym miejscu, gdzie rozumie się więcej, zza lekko tylko uchylonych powiek widzi jaśniej. Pomyślała, że od jednego podmuchu takiego piękna mogłyby przewracać się trony i rozpadać w drzazgi królestwa. I to była dobra, ciepła myśl. Otuliła się nią i cofnęła o krok w kierunku snu.

Siedząca przy piecu zaczęła nucić jakąś melodię. Nie otwierała ust, cała brzmiała tym niskim, głębokim jak pierwszy, daleki jeszcze pomruk burzy dźwiękiem. Ogień tańczył na jej twarzy i ta melodia też była z ognia. Podobnie jak on tańczyła, a w tym tańcu była jednocześnie groza i beztroska. Ciepło i pożoga. „Oby to tylko nie był sen. Żeby to wszystko

mogło być naprawdę” – myślała pod opadłymi z powrotem powiekami kobieta. A wtedy dziecko raz jeszcze, jakby w odpowiedzi, poruszyło się w jej łonie.

Jan Maciejewski

Tekst ukazał się 20 grudnia 2024 r. w „Plusie Minusie”.

Wszystkie teksty Jana Maciejewskiego dla Teologii Politycznej

fot. obrazu Krzysztofa Klimka: Marek Gardulski